Bezpłatny dodatek do Nr 73. „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 11 — Kraków, niedziela, dnia 14 marca 1937 r. — Rok II

Dr JANUSZ J. DUNIN MICHAŁOWSKI

DRAMAT W. BĄKA: „PROTEST“

Poznań, w lutym 1937 r.

Wielkopolska uchodzi powszechnie w Polsce za dzielnicę o wyrobionej kulturze materialnej, niezdolną jednak do jakichkolwiek na wielką skalę zakrojonych porywów i dążności kulutralnych, gdyż te ostatnie rzekomo mało mają w Wielkopolsce podatnego klimatu dla swego rozrostu i rozwoju.

Sąd ten, oparty na zupełnej nieznajomości psychiki wielkopolskiej i wielkopolskich stosunków, jest całkowicie błędny. Wielkopolsce bowiem nigdy nie brakło wielkich walorów kulturalnych. Wprawdzie ziemia wielkopolska, jak najmniej zróżnicowana ze wszystkich ziem polskich i odznaczająca się już od niepamiętnych czasów konserwatyzmem, nie wydawała z siebie w obfitości wielkich, błyskotliwych talentów, potężnych rozmachem, śmiałością swych planów i dążeń, niemniej jednak rodziła stale ludzi poważnych, głębokich, rozumnych i wartościowych. Byli oni jak wykuci z marmuru. Czyści, bez skazy, nieugięci, konsekwentni, mądrzy, a przy tym szlachetni. Tak było zawsze. Jeśli jednak w ostatnim stuleciu tych ludzi w Wielkopolsce prawie, że nie było, wpłynęła na to niewola, która w żadnej części Polski nie oddziałała tak przytłumiająco i hamująco na życie kulturalne, jak właśnie w Wielkopolsce. Wynikło to z wielu przyczyn, których tutaj rozpatrywać nie będę. Wskażę tylko jedną, zdaniem moim najważniejszą: supremację czynników refleksyjnych nad emocjonalnymi, będącymi cechą tak charakterystyczną Polaków w innych dzielnicach. Ta właśnie przewaga refleksji nakazała Wielkopolanom pogodzić się z koniecznością przymusowego zaniedbania dziedziny życia kulturalnego na rzecz spraw gospodarczych, których wzmocnienie pozwoliło im na podjęcie skutecznej i konsekwentnej akcji obronnej życia narodowego przed naporem przemożnego wroga.

Wskutek takiego stanu rzeczy Wielkopolanie w ostatnim stuleciu zaczęli kształtować się psychicznie jednostronnie z wyraźną przewagą czynników materialnych nad duchowymi, mimo że o tych ostatnich bynajmniej nie zapominali, pielęgnując je starannie w granicach sił i możliwości. Możliwości te jednak były poważnie ograniczone i one to sprawiły, że w Odrodzonej Ojczyźnie Wielkopolska zajęła dalsze w stosunku do innych ziem miejsce w naszym życiu kulturalnym i politycznym, że została zepchnięta na drugi plan przez inne dzielnice z wielką szkodą dla całości naszego zbiorowego zycia narodowego.

Stan taki długo trwać jednak nie mógł. 18 lat swobodnego życia we własnym, niepodległym, państwie przeprowadziło już wiele zasadniczych zmian. Wielkopolska coraz bardziej wybija się pod każdym względem na czoło naszego życia społecznego, a jej stolica, Poznań, wysuwa się coraz bardziej na czoło miast polskich, zdobywając sobie wszędzie coraz większy autorytet i coraz większe uznanie nie tylko w dziedzinie gospodarczej, ale także i kulturalnej. Faktem jest bowiem niezaprzeczonym, że życie kulturalne, zarówno Poznania, jak i Wielkopolski, coraz więcej wzmaga się, coraz bardziej rozrasta się, potężnieje. Jednocześnie pojawiają się w Wielkopolsce młode, rodzime, wielce obiecujące, talenty. Mam na myśli młodego poetę-dramaturga, rdzennego Wielkopolanina, Wojciecha Bąka, któremu tu niniejsze rozważanie poświęcam.

Wojciech Bąk, czołowy poeta polski młodego pokolenia, urodził się w Ostrowie Wielkopolskim. W mieście rodzinnym pobierał też nauki początkowe i średnie. Studia wyższe odbywał w Poznaniu, kończąc na wydziale humanistycznym Poznańskiego Uniwersytetu polonistykę. Obecnie Bąk pracuje, jako profesor, w jednym z poznańskich gimnazjów.

Wojciech Bąk tworzy niewiele Swój debiut poetycki odbył na łamach miejscowych pism (Kurier Poznański, Ilustracja, Dziennik Poznański, Życie Literackie), ogłaszając w nich szereg swoich utworów. W roku 1934 poeta publikuje kolejno dwa zbiorki wierszy: „Brzemię niebieskie“ i „Śpiewną samotność“. Dają one doskonały portret duchowy poety liryka o głębokiej refleksji i skrystalizowanym światopoglądzie, opartym o mocny fundament filozoficzny, religijny i moralny oraz zapowiadają niepowszedni talent poetycki, po którym można się wiele spodziewać...

Wojciech Bąk dał się nam poznać nie tylko jako poeta, ale także jako i dramaturg. Napisał dwa dramaty, świadczące, że młody poeta i w tej dziedzinie twórczości pisarskiej ma poważne możliwości przed sobą. Dramat pierwszy, noszący tytuł: „Jerzy i Barbara“ był już drukowany rok temu na łamach „Prosto z mostu“, a obecnie pod nazwą „Protestu“ wystawiany jest w Teatrze Polskim; dramat drugi, p. t. „Tyberiusz“ drukuje się teraz na łamach także „Prosto z mostu“.

„Protest“ jest utworem o wysokich walorach zarówno literackich, jak i scenicznych. Jest debiutem dramatycznym zupełnie udanym. Treścią jego jest sprawa rozejścia się małżonków: Jerzego i Barbary po kilkuletnim (tak można przypuszczać) szczęśliwym pożyciu. Aluzja dramatu rozpoczyna się od chwili, gdyż już sprawa rozejścia się małżonków została definitywnie postawiona, gdy on myśli tylko o tym, w jaki sposób będzie mógł najprędzej uwolnić się od żony, a ona znów pragnie mieć z nim jeszcze jedną, ostatnią rozmowę, do której przywiązuje wielką wagę. O co Barbarze chodzi i czego się spodziewa po tej rozmowie, tego nie dowiadujemy się, gdyż rozmowa ta zostaje przerwana niespodziewanym przybyciem matki z prowincjonalnego miasteczka i zakończona dopiero pod koniec trzeciego i ostatniego aktu. W międzyczasie jednak zachodzą w Barbarze wielkie przemiany. Bo, o ile Barbara na początku rozmowy (I-akt) zdawała się dalej kochać męża i może spodziewała się jeszcze go zatrzymać przy sobie, o tyle pod jej koniec (III akt) mówi, że już męża nie kocha, żyć z nim nie chce, a jedynie chce znać powody, dla których mąż ją porzuca. Przerwę między początkiem a końcem tej rozmowy małżonków wypełniają sprawy materialne, związane z rozejściem się małżonków. Te ujmują w swe ręce: matka Barbary, poczciwa, ale lekko zwichnięta w swoich dogmatach życiowych i ograniczona, kobieta oraz Hania, przyjaciółka Barbary z lat dziecinnych, anormalna i bezduszna osóbka, aktualnie rozwodząca się także wyraźnie z własnej winy. Te dwie kobiety załatwiają z Jerzym sprawy alimentów i są ogromnie zadowolone z tego, że im udało się je tak „dobrze“ (według ich mniemania) załatwić. Dramatu, jaki się rozgrywa na ich oczach w duszy Barbary zupełnie nie widzą, nawet się go nie domyślają. Tak są zajęte kwestią alimentów... Nie zastanawia ich nawet dziwne, bądź co bądź zachowanie się Barbary, która zupełnie do tych targów alimentowych się nie wtrąca, zachowując się tak, jak gdyby tu wcale nie o jej sprawy chodziło. Wreszcie, gdy wszystko zostało wyczerpująco omówione i uzgodnione, gdy małżonkom zostaje tylko pożegnać się i pójść „swoją drogą“, następuje zakończenie, zaczętej na początku pierwszego aktu rozmowy.

Barbara niemal że milczy. Nie zadaje żadnych pytań. Jerzy sam, jakgdyby dla usprawiedliwienia i wytłumaczenia się wobec żony, w długiej przemowie wyjaśnia swój krok... Nie darmo jest adwokatem. Po adwokacku tu uzasadnia swoje postępowanie, sypiąc jak z rękawa różnymi mniej lub więcej przekonywującymi argumentami, których motywem przewodnim jest zupełna swoboda człowieka w urządzaniu swego osobistego życia, którego zaś jedynym sensem jest rozkosz. Kto nie umie tak postępować, by w życiu doznać jak najwięcej rozkoszy, jest skończonym głupcem. Etyka i moralność są to bowiem „wydęte idee i idejki“ dobre dla ludzi starych i głupców, ale nie dla ludzi rozsądnych i wiedzących, czego chcą od życia, takich, do jakich należy on, Jerzy... Poprzednio należał do kategorii tych pierwszych ludzi. Dziś jednak zmienił się. Przeszedł do kategorii tych drugich. A że Barbary nie kocha i nie ma żadnej przyjemności w dalszym z nią pożyciu, więc wycofuje się i jednocześnie chce się z nią rozstać po przyjacielsku...

Barbara odpowiada mężowi krótko. Jej już wszystko obojętne, co Jerzy robi. Ona go już nie kocha i zatrzymywać go przy sobie nie myśli. Przekonała się bowiem, że „wszystko w co wierzyła, było kłamstwem“, a całe jej życie z Jerzym i w ogóle całe otoczenie „było tylko błotem“. Ona jednak w tym błocie żyć nadal nie chce i przeciwko takiemu niskiemu życiu protestuje, odbierając sobie życie wystrzałem z rewolweru. Na tym sztuka kończy się.

„Protest“ jest istotnie protestem przeciwko życiu „ułatwionemu“, przeciwko życiu, które obraca się głównie dokoła spraw materialnych, a lekceważy zupełnie sprawy moralne, duchowe. Autor dobrze nam zobrazował pewien fragment „życia ułatwionego“, malując z nietajonym sarkazmem jego karykaturalność. Szkoda tylko, że nie dał jakiejś przeciwstawni temu życiu, — przeciwstawni, znamionującej świat inny, wyższy, górujący nad „życiem ułatwionym“ swą siłą moralną i nadprzyziemnymi celami i dążeniami. Wówczas bowiem efekt „protestu“ byłby daleko większy i potężniejszy, aniżeli jest obecnie. Mimo to zastrzeżenie i cały szereg innych, natury drugorzędnej, przyznać trzeba, że debiut sceniczny Wojc. Bąka jest debiutem całkiem udanym. Poeta wykazał w nim wiele instynktu teatralnego. Okazał się przy tym poważnym pisarzem scenicznym, który talent swój chce użytkować na rozstrząsanie zagadnień poważnych, ogólnoludzkich. Ambicja godna pochwały i jak najgorętszej zachęty.

„Protest“ wystawił Teatr Polski, który pod dyrekcją p. Roberta Boelkego, mimo trudności materialnych, stara się godnie reprezentować ambicje Poznania w dziedzinie sceny dramatycznej. Dlatego też wystawia na swych deskach nie tylko najnowsze sztuki pisarzy obcych, ale przede wszystkich swoich, których tu prapremiery bardzo często w Poznaniu oglądają światło dzienne.

„Protest“, który wymaga czterech wykonawców, odtwarzali: pp. Tola Koronkiewiczówna (Barbara), Barbara Ludwiżanka (Hania), Jadwiga Sachnowska (matka) i Władysław Hańcza (Jerzy). Reżyserował dyr. Boelke.

Jerzy p. Hańczy był takim, jakim go właśnie uczynił autor: człowiekiem przyziemnym i brutalnym, egoistą do naiwności. Pani Sachnowska, jako matka, robiła wszystko, oby zapewnić córce jak najlepsze odszkodowanie materialne ze strony męża. Jej nieporadność i mimika, mające pokryć zaskoczenie, były kapitalne. Odtworzyła tu typową, ograniczoną w miłości macierzyńskiej i silącą się na płynięcie z prądem współczesności matkę. P. Ludwiżanka w roli anormalnej, głupiej kobietki nowoczesnej, była także bez zarzutu. Z całej czwórki zawiodła tylko p. Koronkiewiczówna, artystka nieprzeciętna, którą obarczono jednak rolą, przerastającą jej siły. Wprawdzie w granicach swych możliwości artystycznych i psychicznej miękkości p. Koronkiewiczówna dała z siebie wszystko, co dać mogła, przekształcając na opak duszę Barbary: bunt zamieniła na rezygnację, oburzenie — na żal, rwący się ból — na łagodne cierpiętnictwo. Skutek takowego odwrócenia był jednak taki, że Barbara budziła tylko litość, a jej samobójstwo po biernym cierpieniu i zupełnej rezygnacji wydało się czymś sztucznym, nienaturalnym, mało uzasadnionym. Dlatego tu nie wywarło takiego wrażenia, jakie wywrzeć powinno. Tym samym cały jej protest wypadł mało przekonywująco.

MALWA CHĄDZYNSKA

Zakopane, 28. II. 1937.

ZAKWITŁY BAZIE

Przez jedną noc zakwitły bazie,
Więc uśmiech z mych nie schodzi lic.
Dziki wichr halny wiosnę niesie,
Nie martwi dzisiaj mnie już nic!

Chcę tak, jak wiosna cudna — ona
Nieść z sobą piękno, życia czar.
I dzisiaj — w bazie zapatrzona,
Wsłuchana jestem w wichru gwar...

Cudownej mocy czuję tyle,
Że chciałabym gdzieś z wichrem gnać.
I słońca blasków promienistych,
Uśmiechów tysiąc w koło dać!...

AURELI DROGOSZEWSKI

ELIZA ORZESZKOWA

1841 — 1910

Minęło przeszło ćwierć wieku od śmierci znakomitej powieściopisarki (18 maja 1910 r.). Wyczerpane do ostatka jej serce nie mogło już przetrwać ostatnich kilku lat, które wnet miały przeminąć, by odsłonić tę olśniewającą zjawę, której znicz gorejący w biegu nie kończących się dziesięcioleci w duszy swej głęboko ukrywała — zjawę Polski Niepodległej.

Nie doczekała. A tym czasem przyszła wojna, z nią wstrząśnienia, nadzieje i złudy, wzniesienia się i upadki... aż wreszcie... aż wreszcie oczy nasze ujrzały to, ku czemu próżno tęskniły pokolenia.

Nie sporo oglądać się. A przecież oglądnijmy się. Bo w przeszłości, tak niedawnej, a zdawało by się już dawnej, tkwiły zarody, tkwiły warunki naszego zmartwychwstania. Orzeszkowa niemal pół wieku (1866—1910) przetrwała na skraju „puszczy“, na samotnym swym, zapomnianym litewskim posterunku, w trudzie krwawym i w uciśnieniu. Trwała, służąc idei, prostując ścieżki społeczeństwa. Promieniując w koło siebie mocą swego ducha, nie gasnącym ogniem ukochania kraju i rzeczy wielkich, świętych; nieśmiertelnych. Była „pozytywistką“. Co jednak znaczy pozytywizm w stosunku do Orzeszkowej właśnie?

POZYTYWIZM ORZESZKOWEJ.

Poruszała zagadnienia, które dziś już inny przybrały wygląd, a przecież wciąż domagają się rozwiązania, bo w pełni nie są rozstrzygnięte. „Czy należy walczyć o prawa kobiety?“ Tak, czy prawie tak, formułuje ktoś swe wystąpienie publiczne. Stało się to wczoraj, czy przed tygodniem. Oto jedno z haseł epoki pozytywistycznej jako aktualne zagadnienie. Jedno z haseł, które coraz to innymi echami rozbrzmiewało w utworach autorki od zarania jej pisarskiego zawodu do jego końca niemal. Od wczesnego wiersza o kobiecie (1866), poprzez „Początek powieści“, przez „Pamiętnik Wacławy“ i „Martę“, „Nad Niemnem“, nie znikając nigdy zupełnie z jej powieściowego widnokręgu. A nie myślmy, że są to ponawiane brzmienia wciąż tej samej nuty. Przeciwnie, jakaż tu różnorodność. Dola kobieca, obyczaje w jej wychowaniu, prawa do zasługi obywatelskiej, prawo do udziału w pracy, w zarobku. Coraz to inne sytuacje, nowe wciąż oświetlenie, zmienione perspektywy, formy, cele. Jeżeli upomina się o prawo serca, to znowu przestrzegać będzie przed ślepym popędem, nie zawierającym w sobie warunków trwałości. Uczucie wzajemne ma przewyższać względy materialne czy przesądy towarzyskie — ale na straży winien czuwać rozum, którego przeznaczeniem korygować lekkomyślność popędu młodzieńczego. Lecz cóż to jest rozum? Czy deus ex machina? Nie jest to cud, co się rodzi ze znajomości życia, z nałogu rozwagi... I oto nowe zagadnienie — należytego wychowania. Zarówno kobiet i mężczyzn. Splot tragicznych indywidalnych powikłań zamienia się w poważną sprawę ogólnego znaczenia. Sprawę, która i dziś staje wciąż przed nami w różnych zakresach i różnych perspektywach, która i dziś, jak niegdyś, jest rozważana i tak czy inaczej rozstrzygana, jako konieczność narodowa i państwowa. Że z konieczności narodowej jasno sobie autorka zdawała sprawę, to chyba dobrze wiemy, pomnąc choćby treść noweli „A. B. C.“. To zagadnienie samoobrony narodowej, to opór przeciw dążnościom państwa zaborczego, pruskiego czy rosyjskiego, do wynarodowienia ludności, do utrzymania jej w wierności...

Lecz z kwestią tą kojarzy się inna. Pierwotne zamierzenia Joanny Lipskiej są skromne. Chce ona zwiększyć zarobek rodziny i nie chce jeść darmo chleba z rąk zapracowanego brata-kancelisty. A dlaczegóż ojciec Lipskich stracił posadę nauczycielską...? Czemu Mieczek, brat Joasi, nie mógł otrzymać wyższego wykształcenia, ażeby powiększyć swe szanse życiowe? Ano, Polak na własnym gruncie pozbawiony chleba. Ucisk materialny idzie w parze z kulturalnym. Ale Joasia, w swych skromnych zamierzeniach, skupiając u siebie dzieci i podrostków, odgradza je w pewnej mierze od zgubnych przykładów ulicy. Oto jest istotna „praca u podstaw“. I oto jest również przykład, jak u autorki rozszerzają się perspektywy.

Praca u podstaw. Hasło pozytywistyczne. Jak inne wspomniane, jak emancypacja kobiety, jak sprawa wychowania, jak zagadnienie kontrolującej roli rozumu rozbrzmiewa ono od zarania twórczości autorki. Zwróćmy się ku dziełu, w którym stanęła na szczycie dojrzałości pisarskiej w południowej dobie. „Nad Niemnem“. Czy propagowany przez Witolda Korczyńskiego nakaz zbliżenia się wykształconego ziemiaństwa do nizinnej sfery Bohatyrowiczów nie wypływa właśnie z zasady pracy u podstaw? Z troski o przyszłość narodową? Tak, Polska niepodległa, to następstwo, to konsekwencja świadomości, uznania się w jestestwie swoim, które w części przynajmniej nigdy nie było stłumione, ale to także zasługa ot takich „pozytywistów“, jak Orzeszkowa.

HUMANITARYZM.

A teraz chwila zastanowienia. Czy dziś „praca u podstaw“ nie ma już zastosowania? Zapewne, nie w celu unieszkodliwienia miażdżącej machiny obcego państwa. Dziś własne państwo podjęło to samo zadanie wzmocnienia wewnętrznej mocy, podniesienia, ugruntowania kultury, Lecz czy bez współdziałania, bez jego świadomej i ofiarnej pracy, jakieś zadania mogłyby być skutecznie spełnione?

Oto tak zazębiają się, jak to wskazaliśmy, różne tematy i różne tendencje autorki, Porywają one nas w różne strony, Tak jednak czy inaczej, to jest znamienne, że w tym świecie, w który nas autorka wprowadza, zawsze nas owiewa atmosfera służby społecznej, obowiązków ogólnych. Przyczyną powikłań osobistych są przecież jakieś przyczyny stałe. Jednostkowe tragedie stawiają nas wobec tych czy innych chorób, tych czy inych potęg, które zahamować należy, które należy przeobrazić z sił wrogich w przyjazne gromadzie i jednostkom. A to są rzeczy wieczyście aktualne.

Dwa światy ukazują się nam w utworach Orzeszkowej, krzyżują się drogi dwu różnych sfer. Wyżyny i niziny... Do ludzi z wyżyn zwraca się autorka często z upomnieniem, aby się bronili przed zagładą i zapobiegali staczaniu się społeczeństwa po równi pochyłej. Aby we wszelkich okolicznościach umieli zdobyć dla siebie, dla bliskich grunt pewny. A to jest program pozytywny, a przynajmniej jedna z najważniejszych jego cząstek, To jest jedna sytuacja, jeden aspekt rzeczy. Ale jest inny, nie mniej od tamtego ważny. Jest to obowiązek wyżyn względem nizin. Obowiązek współczucia i opicki. Zapewne, pozór obowiązku takiego jest filantropijny. Niemniej odwołuje się autorka nie do dobrego serca, które może tak czy inaczej decydować, lecz do obowiązku, który jest jeden.

I to jest humanitaryzm autorki. Humanitaryzm ten objawi się również z innej strony. A to w zainteresowaniu się losem i życiem upośledzonych i skrzywdzonych, których ogarnia autorka sercem miłującym i myślą czujną. I to jest humanitaryzm i demokratyzm Orzeszkowej. A ponieważ kojarzy się w niej w stosunku do ciżby ludzkiej zarówno myśl, jak serce, więc umie ona wykryć w sercach skrzywdzonych i w sercach prostych skarby duszy, skarby woli i siły i godności. Humanitaryzm autorki nie jest płaczliwy, unika sentymentalizmu. Sympapatia, z jaką autorka traktuje istnienia ludzkie, często bez winy własnej skrzywdzone, a choćby i z winą, współczucie, rozświetlające duszę, jest dla czytelnika rozkoszą i nabytkiem trwałym. Budzi wdzięczność dla tej, która umiała miłować rozniecać w sercach naszych wiarę w dostojność człowieka. Za to czciły Orzeszkową rzesze czytelnicze i za to my ją dziś czcić będziemy.

Te wszelkie ukochania i światła, te winy i grzechy, te zasady i obowiązki, które autorka w duszach jednostek wykryła i ukazała, jednoczą się w jeden obraz, wytwarzają widok ogólny, rozszerzają się w perspektywy, ogarniające losy narodu, przeszłe, obecne i przyszłe. Losy, które w pewnej mierze się już urzeczywistniły wraz z odzyskaniem państwa, ale nie w całej pełni. Uczucie miłości narodu, ból jego klęski, gorąca tęsknota do szczęśliwego jutra przenika ponad wszelką wątpliwość wszystkie niemal dzieła autorki, stanowi atmosferę, nas otaczającą, którą oddychać musimy, która przenika wszystkie fibry naszego jestestwa. Kreśli autorka obowiązki na dziś, wytyka drogi ku przyszłości. Czy kiedy z troski o społeczeństwo wdraża w sumienia i uczucia nakaz nieustającej pracy, czy kiedy zniewala tych, co na wyżynach przebywają, ku tym, którzy na niższych w częstym poniżeniu trwać muszą, czy kiedy powstaje przeciw prądom kosmopolitycznym, przeciw wyrzekaniu się obowiązku i ofiary. Zawsze tak jak i wtedy, gdy ma słuszność, i wtedy, gdy przekracza właści-

(Ciąg dalszy na str. 3).

ALEKSANDER PUSZKIN

ZADYMKA

NOWELA (Dokończenie)

Przełożył z rosyjskiego Józef Birkenmajer

Ale powróćmyż do poczciwych dziedzicostwa z Nieparadowa i zobaczmyż, co się u nich dzieje.

A, nienajgorzej!

Staruszkowie, gdy się obudzili, poszli do jadalnego pokoju: Gawriła Gawriłowicz w bajowym kołpaku, zaś Praskowia Pietrowna w watowanym szlafroku. Wniesiono samowar, a Gawriła Gawriłowicz wyprawił pokojówkę do pokoiku Marii Gawriłowny, żeby się dowiedzieć, co słychać ze zdrowiem panienki i jak spała. Służąca powróciła z oznajmieniem, że jaśnie panienka spała źle, ale teraz ma się już znacznie lepiej, to też za chwilę przyjdzie do jadalni. Istotnie po chwili otworzyły się drzwi i weszła Maria Gawriłówna, by przywitać się z tatką i mamusią.

— Jakże tam twoja głowa, Marusiu? — zapytał Gawrił Gawriłowicz.

— Lepiej, ojczulku — odrzekła Marusia.

— Pewno, Marusiu, miałaś wczoraj gorączkę — ozwała się Praskowia Piętrowna.

— Być może, mamusiu, — odrzekła Marusia wymijająco.

Dzień przeszedł szczęśliwie, lecz w nocy Marusia rozchorowała się. Posłano po lekarza. Przyjechał pod wieczór i znalazł chorą majaczącą. Ujawniła się silna gorączka i biedna chora przez dwa tygodnie była o krok od śmierci.

O zamierzonej poprzedniego dnia ucieczce nie wiedział nikt w domu. Listy napisane przed wyjazdem przez Marusię, nazajutrz uległy spaleniu. Pokojówka nie pisnęła nikomu ani słówkiem o całej sprawie, bojąc się gniewu państwa. Pop, emerytowany kornet, wąsaty geometra i młokos-ułan milczeli, jak grób — i mieli do tego powody... Woźnica Terencjusz nawet po pijanemu nie wygadał się nigdy słowem niepotrzebnym. W ten sposób z górą pół tuzina ludzi było powiernikami tajemnicy — i dochowało jej święcie. Niestety zdradziła tajemnicę sama Maria Gawriłowna, gdy majaczyła w ustawicznej gorączce. Słowa jej jednak tak były zagmatwane, pozbawione ładu i składu, iż matka, która dniem i nocą nie odchodziła od jej łóżka, zrozumiała jeno tyle, że córka jej jest zakochana całą duszą we Włodzimierzu Mikołajewiczu i widocznie ta miłość stała się przyczyną choroby.

Przeto Praskowia Pietrowna naradziła się z mężem oraz z kilku sąsiadami — i koniec końców, uchwalono jednogłośnie, że widocznie taki już los był pisany Marii Gawriłownie... jako że muru nikt głową nie przebije. zresztą ubóstwo nie jest grzechem, żyje się nie z bogactwem, lecz człowiekiem i t. p. Przysłowia dziwnie bywają pożyteczne w tych wypadkach, gdy nie wiele potrafimy wymyślić na własne usprawiedliwienie.

Tym czasem panienka zaczęła przychodzić do zdrowia. Włodzimierz od dawna się nie pojawiał w domu Gawriły Gawriłowicza, odstręczony chłodnym przyjęciem. Postanowio więc posłać po niego i oznajmić mu szczęście niespodziane: zgodę na jego małżeństwo z Marią Giwriłówną.

Lecz jakież było zdumienie przezacnych dziedzicostwa nieparadowskich, gdy w odpowiedzi na swoje zaprosiny otrzymali od Włodzimierza list iście szaleńczy! Donosił w nim, że jego noga nigdy nie postanie w ich domu, i prosił, by zapomnieli o nieszczęśniku, dla którego jedyna nadzieja pozostała w śmierci. Za kilka dni dowiedzieli się, że Włodzimierz powrócił do wojska. Było to w roku 1812.

Długo nie ośmielano się mówić o tym wszystkim przychodzącej do zdrowia Marusi. Zresztą i ona nie wspominała nigdy o Włodzimierzu. W kilka miesięcy później, znalazłszy jego nazwisko w liczbie odznaczonych i ciężko rannych pod Borodinem, omdlała, tak iż obawiano się, że wpadnie znowu w gorączkę. Jednakowoż, dzięki Bogu, omdlenie to nie pociągnęło za sobą żadnych następstw.

Niebawem spadł na nią drugi cios: Gawriła Gawriłowicz odszedł z tego świata, czyniąc ją spadkobierczynią całego majątku. Nie cieszył ją ten spadek; dzieliła szczerze ból z Praskowią Pietrowną i przyrzekła jej, że odtąd już nigdy nie rozstanie się ze swą matką. Obie opuściły Nieparodowo, pełne tylu bolesnych wspomnień i przeniosły się do drugiego majątku w ....

I tutaj też dokoła ładnej i bogatej panny na wydaniu zaczęło się uwijać wielu kawalerów — lecz ona żadnemu z nich nie robiła najmniejszej nawet nadziei. Czasami namawiała ją matka, by tego czy innego z nich wybrała sobie za męża — lecz Maria Gawriłowna tylko kiwała głową i posępniała. Włodzimierz już nie żył: zmarł w Moskwie w przeddzień wkroczenia Francuzów. Jego pamięć wydawała się Marii świętą, to też nieboga przechowywała pieczołowicie to wszystko. co tylko mogło go przypominać: książki, które on niegdyś czytał, jego rysunki, nuty i wiersze przepisane niegdyś dla niej własną jego ręką. Sąsiedzi, dowiedziawszy się o tym, dziwili się jej niezwykłej stałości i z zaciekawieniem oczekiwali, kto też będzie owym bohaterem, który na koniec zatriumfuje nad smutnym i wiernym przywiązaniem dziewiczej Artemidy.

Tym czasem wojna ukończyła się chlubnie i wojska rosyjskie powracały z obczyzny. Lud wybiegał na ich powitanie. Muzyka grała zdobyczne pieśni: „Vive Henri-Quatre“, walce tyrolskie i arie z „Gioconudy“. Oficerowie którzy w swoim czasie wyruszyli w pole niemal jako młokosy, wracali zmężniali w atmosferze wojennej, poobwieszani krzyżami. Żołnierze gwarzyli z sobą wesoło, wtrącając co chwila w rozmowę słowa francuskie i niemieckie. Jakież było miłe spotkanie z najdroższymi.

Kobiety było upojone radością i porzuciły swój chłód powszedni, cechujący Rosjanki. Ich zachwyt przechodził wszelkie granice, gdy witając zwycięzców, krzyczały: „Hura!“ „...i czepki w górę podrzucały“...

W ową wspaniałą chwilę Maria Gawriłowna z matką przebywały w gubernii -skiej i nie widziały, jak obie stolice obchodziły uroczyście święto powrotu wojska. Lecz kto wie, czy na ogół biorąc po wsiach i na prowincji powszechny zapał nie był większy niż tam w stolicach. Oficer, który by się pojawił w owych stronach, byłby przyjmowany jak triumfator, a biada było wyfraczonemu kochankowi w jego sąsiedztwie!

Wspominaliśmy już, że mimo swej obojętności dla mężczyzn, Maria Gawriłowna w dalszym ciągu była otoczona przez wielbicieli. Wszyscy jednak konkurenci musieli broń złożyć, gdy w dworze Marii zjawił się pułkownik huzarów Burmin, ozdobiony krzyżem św. Jerzego, wiszącym w dziurce od guzika munduru, przy tym z zaszczytną blizną, a wreszcie „interesującą bladością twarzy“, jak wyrażały się młode panienki. Miał lat około dwudziestu sześciu. Przyjechał na urlop do swego majątku, znajdującego się w pobliżu dóbr Marii Gawriłowny.

Maria Gawriłowna od razu zwróciła nań uwagę. W jego towarzystwie znikała zwykła jej posępność, ożywiała się rozmowa. Nie można powiedzieć, jakoby Maria próbowała kokietować swego nowego znajomego, w każdym razie pewien poeta, jeśliby widział to jej zachowanie, odezwałby się napewno:

— Se amor non é, che dunque...?

Burmin był istotnie nader miłym kawalerem. Przede wszystkim miał tę zaletę, która najbardziej podoba się kobietom: zaletę przyzwoitości i spostrzegawczości; nie było w nim cienia pretensjonalności, natomiast nie brak mu było nawyku — nieszkodliwej zresztą — ironii. Jego zachowanie się w stosunku do Marii Gawriłowny było proste i swobodne, — wrzelakoż ilekroć ona tylko coś rzekła lub zrobiła, jego wzrok i dusza szły zaraz za nią. Wyglądał na człowieka skromnego i spokojnego, lecz plotki głosiły, że w swoim czasie był hulaką i urwisem. Nie szkodziło mu to jednak w oczach Marii Gawriłowny, która (jak wiek-

Eliza Orzeszkowa

(Dokończenie ze str. 2)

wą miarę, wyjaskrawiając sytuacje i stosunki. Bo zawsze w niej żyje jedna myśl, jedna wola, jeden nakaz — służby społeczeństwu, więcej, służby narodowi. To się zwykle nazywa patriotyzmem. A to jest pozytywizm Orzeszkowej.

PATRIOTYZM.

Pozytywizm każe wysnuwać szczególne nauki zachowania się społecznego z sytuacji wytworzonej przez klęskę. I czyni to Orzeszkowa. Lecz stając wobec historycznej konieczności, nie wytacza procesu walczącym a zwalczanym. Nie pomawia ich o głupotę, nie przeklina za to, że mierzyli siły na zamiary. Nie neguje ideału niepodległościowego, ani metod walki. Nie przeciwstawia metody pracy metodzie dawnej. Jest to naprawdę swoisty pozytywizm.

Wierność dla idei 1863 roku, zarówno demokratycznej, jak patriotycznej, była podstawą czci, którą autorka przechowała w sercu dla pamiętnego roku i jego bojowników. Czci zbożnej której wyraz dała zarówno w powieści „Nad Niemnem", jak w utworach takich, jak „Śmierć domu", jak „Panna Róża" i wreszcie w szeregu obrazków, skupionych pod znamiennym tytułem „Gloria victis"... Chwała zwyciężonym.

W testamencie przez autorkę wykonanym były pewne czyny, było przechowywanie czci dla ideału ojczystego. I był również nakaz wytrwania, to wszystko obejmujący. Ten nakaz przeobraża się w bolesny i twardy obowiązek. Niech się sroży wróg. Niech wynajduje tysiączne sposoby zniszczenia. A my... Przenieśmy się w świat starożytny, świat Grecji, Rzymu, Wschodu... Zawsze to samo: zachowajmy w piersi wewnętrzną niepodległość i dostojność.

Tak spełniła Orzeszkowa testament przeszłości. A jednak wiemy, że jej bezwzględną wielbicielką nie była. Że znaczenie jej na tym polega, że nowe światła przed społecznością rozpalała, wytykała jej drogi nowe. Uczucie, rozum, wola, obyczaje... Jak to było w tym względzie? O ile w tym zakresie była pozytywistką, negując przeszłość? Bo przecie pozytywizm miał być z jednej strony utwierdzeniem, a skądinąd neguje? Wielbiła rozum i jego wskazania. Do rozumu się odwoływała, gdy pragnęła naprawiać obyczaje, powstrzymać obłąkania popędów i uczuć. Prześladowała rozmarzenie i miękkość, wykrywając w nich fałsz, obłudę, czy bezmyślność. Niejednokrotnie w tym kierunku dopuszczała się może przesady, tak bowiem nienawidziła bierności, tak lękała się bezwładu, nie odpowiadającego zmienionym warunkom. Prostować charaktery, wzmacniać wolę — to było jej zadanie przecie. I w tym wszystkim była pozytywistka. Nie pozwalała na to. Mimo swego zrównoważenia, mimo intelektualistycznej barwy swej natury i swej twórczości była w istocie swej najgłębiej sercem miłującym. Uczucia mocne i trwałe były dla niej źródłem woli i źródłem obowiązku. Myśl miała służyć sercu, nie odwrotnie. I dlatego najboleśniejszą w jej oczach krzywdą było znieważenie kochającego serca.

FORMA LITERACKA.

Nie mogłaby autorka pozyskać sympatii dla swoich bohaterów, gdyby nie umiała widzieć i ukazać swe postaci i ich otoczenie w całej ich prawdzie. A że umiejętność tę posiadała, że umiała nakreślić swym obrazom szerokie linie, zdolna była do stworzenia widoków o epopeicznym zakroju, jak „Nad Niemnem", jak „Meir Ezofowicz". Umiała również owiewać swe obrazy tchnieniem szerokiej przyrody. A że prześwietlała także dusze, ukazując w nich subtelne poruszenia z jednej strony, z drugiej wykrywając w nich głębokie i tragiczne napięcia namiętności, obrazy jej w wielu razach uderzają głęboką, wstrząsającą dramatycznością. Nie próżno nie jedna z jej powieści i nowel była przerabiana w formę dramatyczną lecz nie przez samą autorkę. Przez dziwną sprzeczność forma dramatu w rękach jej zupełnie nikłą się stawała. Metoda pisarska autorki to niewątpliwie realizm, ale realizm złagodzony przez wybór przedmiotu i szczegółów, przez dobór barw. Tak orzekły konieczności jej natury. Z zasady unika ona drobiazgowości.

I z zasady także unika szczegółów czy zbyt brzydkich, czy zbyt jaskrawych i zbyt wstrząsających lub odstraszających. Tym się różni od niejednego z dzisiejszych powieściopisarzy. Mocniejsze tony i zbyt głośne stanęłyby zapewne w sprzeczności z jej idealizmem, z jej wiarą w człowieka i z jej dla niego miłością.

A także z jej wiarą w ideały, z jej do nich miłością. Do ideałów, do spraw w tylu wypadkach zwyciężonych, obalonych, a przecież nieśmiertelnych, ukochanych i świecących wieczystym dobrem i nieśmiertelnym pięknem.

—oOo—

Rozrywki umysłowe Nr 11/50

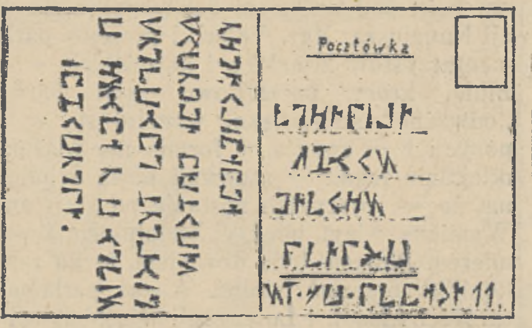
Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

II Konkurs zadaniowy (d. c.)

ZAD. 9. — TAJEMNICZE PISMO,

ul. J. Rumian — Żelków.

Otrzymaliśmy pocztówkę o tajemniczej treści. Może PP. Czytelnicy raczą nam dopomóc w jej odcyfrowaniu. Dla orientacji podajemy ilość liter, mogących wchodzić w skład tekstu: 10 A, 5 C, 1 Ć, 4 D, 8 E, 1 G, 6 I, 4 J, 5 K, 1 L, 2 Ł, 2 M, 4 N, 6 O, 1 Ó, 2 P, 6 R, 4 S, 2 Ś, 5 U, 8 W, 4 Y, 7 Z, 1 Ż.



ZAD. 10.

CYKL SZARADEK REFLEKSYJNYCH,

ul. „John Ly" — czł. Kl. Szar.

1. Dziwnie się plecie.

Dola się **czwarta-druga**
w cieniach **raz-trzy** i światłach...
Śmiech, łzy, wina, zasługa —
wszystko się **raz-dwa** i gmatwa...

2. Nieustępliwość.

Gdy życie w duszę ci **czwór-dwa-raz**
mętne osady zniechęcenia,
wyrzuć je zaraz!
Niech twe **wtór-trzecie** nie tracą natchnienia!
Trzeba mieć upór, **wtór-pierwszy**
w walce ze złem! Wygra, kto zdzierży!

3. Justum ac tenacem...

Wtór-trzeci duchem giną w życiowym mozole.
Dwa w świecie „pierwszy", kto ma z **czwartej-trzeciej** wolę...

4. Zadanie życia.

Pewne **raz-drugie** pracy w życiu miej!
Jasne **trzy-drugie** niechaj świecą jej!
Nie są **wtór-czwarci** w **trzeciej-czwartej wspak**.
Zorać, nie przebiec li masz życia szlak!

ZAD. 11. — ARYTMOGRAF,

ul. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Podane cyfry tekstu należy zastąpić odpowiednimi literami, które odnajdziemy po odgadnięciu podawnych wyrazów klucza. Po odgadnięciu otrzymamy zdanie Wincentego Pola.

Tekst: 1, 8, 13, 20, 12, 3, 15 — 1, 2, 4, 3, 4, — 15, 16, 11, 6, 11, 17, 18 — 9, 4, 16, 11, 10, 12, 3, 20 — 1, 2, 4, 3, 14, 3, 9, 12 — 1, 2, 4, 3, 14, 3, 9, 12, — 1, 2, 4, 3, 4, — 19, 5, 9, 12, 3, — 12, 6, 4, 12, 3, — 11, 2, 13, 9, 4, 3, 15.

Słowa klucza:

1. Pierwszy urzędnik w państwie = 1, 2, 3, 4, 5, 6, 3, 7, 8.
2. Dawna złota moneta rosyj. = 9, 4, 3, 2, 10, 11, 7, 12, 3, 9.
3. Marzycielstwo = 12, 6, 3, 13, 14, 12, 4, 15.
4. Część czasu życia ludzkiego = 15, 16, 11, 6, 11, 17, 18.
5. Uczeń w dawnych szkołach = 19, 13, 20.

ZAD. 12. — SZARADA. — APOSTROFA,

ul. „Kasta" — czł. Kl. Szar.

Człowieku! **Sześć-dwunasty-wtór-trzeci natury!**
Na firmamencie światów **raz** powierzchni planet
jedenaste i siódme, jak bańki mydlane,
jesteś, chociaż swe czoło zadzierasz do góry!

Naprożno chcesz zrozumieć **drugie-trzecie** świateł
gwiazd wschodzących, obliczyć komet parabole,
wykreślać poomacku w dziecinnym mozole
jedenaście-sześć-dziesiątego tor nad światem!

Człowieku! W **Raz-dziewiątej-siódmej-ósmej** pysze
chcesz na wulkan słoneczny przenieść duch nizinny!
Czy sądziesz, że dla rodu **pięć-dziewięć-tuzinnych**
stosowniejsze są loty, niż ziemskie zacisze?

Trzy próbuj zrywać z ziemią, — bo zasilne pęta!...
Nie polepsza swej doli ten, kto przez fatalizm
cztery-dziesięć-pięć balans wiekuistej szali!
Twym udziałem jest małość, nie — **Całość... Pamiętaj!!!**

---

szość młodych kobiet), chętnie uniewinniała wybryki, dowodzące odwagi i energii.

Lecz w większej mierze niż cokolwiek innego (a więc niż jego wytworność, wdzięk rozmowy, interesująca bladość i obandażowana ręka) — jej ciekawość i wyobraźnię drażniło milczenie młodego huzara. Nie mogła nie domyślić się tego, że spodobała mu się bardzo; z pewnością i on przy swym doświadczeniu i przenikliwości zdołał już zauważyć, że ona go wyróżnia... Czemuż więc dotychczas nie widziała go jeszcze u swych stóp i nie słyszała jego oświadczyn? Cóż go wstrzymywało? Czy nieśmiałość, nieodłączna od prawdziwej miłości, czy duma, czy kokieteria przebiegłego fircyka? Było to dla niej nierozwikłaną zagadką.

Nałamawszy sobie nad tym głowy, doszła wreszcie do wniosku, że jedyną przyczyną mogła tu być nieśmiałość; postanowiła więc go ośmielić większym zwracaniem nań uwagi, a w miarę możności także większym okazywaniem mu względów. Obmyślała rozwikłanie jak najmniej spodziewane i z niecierpliwością oczekiwała chwili romantycznych oświadczyn. Wszelka tajemniczość zawsze pociąga serca niewieście.

Ta wojownicza postawa osiągnęła skutek pożądany. Istotnie Burmin stawał się tak zamyślony, a czarne jego oczy z tak ognistym wejrzeniem zatrzymywały się na postaci Marii Gawriłowny, iż wedle wszelkich przewidywań chwila stanowcza powinna była nadejść rychło. Sąsiedzi opowiadali sobie o małżeństwie tych dwojga młodych, jako o fakcie już niemal dokonanym. Poczciwa Praskowia Pietrowna cieszyła się, że jej córka znalazła sobie na koniec godnego oblubieńca.

Pewnego dnia staruszka siedziała sama jedna w bawialnym pokoju, kładąc kabałę, gdy naraz wszedł do pokoju Burmin i po przywitaniu zaczął dopytywać się o Marię Gawriłownę.

— Właśnie wyszła do ogrodu — oznajmiła staruszka. — Niech pan po nią pójdzie, a ja tu będę was oczekiwać.

Burmin wyszedł, a staruszka przeżegnała się i rzekła sobie w duchu:

— Otóż i dziś wszystko się rozstrzygnie...

Burmin znalazł Marię Gawriłownę pod wierzbą nad stawem: z książką w ręku i biało ubrana wyglądała na prawdziwą bohaterkę romansu. Po pierwszych zapytaniach maria Gawriłowna umyślnie zaczęła raz po raz urywać ciąg dalszy rozmowy, zwiększając w ten sposób obopólne zakłopotanie, z którego można się było wybawić jedynie nagłym i stanowczym oświadczeniem miłosnym.

Taktyka doprowadziła do pożądanego celu. Burmin, czując kłopotliwość swego położenia, wyznał, że dawno już szukał sposobności, by otworzyć przed nią serce, i poprosił o chwilę uwagi.

Maria Gawriłowna zamknęła książkę i spuściła oczy w dół na znak zgody.

— Ja panią kocham — zaczął mówić Burmin. — Kocham panią namiętnie...

Maria Gawriłowna spiekła raczka i jeszcze niżej opuściła głowę.

— Otóż — ciągnął dalej Burmin — postąpiłem bardzo nierozważnie, ulegając miłemu nałogowi widywania się z panią i słyszenia jej codziennie...

Maria Gawriłowna przypomniała sobie słowa pierwszego listu St. Preux...

— Teraz już zapóźno sprzeciwiać się losowi... Wspomnienia pani i jej uroczy, nieprześcigniony obraz będzie odtąd słodyczą i katuszą mego żywota... Lecz pozostał mi jeszcze ciężki obowiązek wyjawienia straszliwej tajemnicy... i postawienia między nami nieprzebytej zapory...

— Ta zapora istniała od samego początku — przerwała Maria Gawriłowna. — Ja nigdy nie mogłam zostać pańską żoną...

— Wiem — odrzekł cichym głosem Burmin. — Wiem, że pani niegdyś kochała kogo innego... Lecz śmierć i trzy lata żałoby... Dobra i urocza Mario Gawriłowna!... Niech pani nie stara się pozbawić mnie ostatniej pociechy: myśl, że pani zgodziłaby się mnie uszczęśliwić, gdyby...

— Niech pan nie mówi, na miłość Boską... niech pan nie mówi!... To dla mnie bolesne!...

— Tak, wiem i czuję, że pani zgodziłaby się być moją żoną... ale... o jakiż ze mnie człowiek nieszczęśliwy!... ja jestem żonaty!...

Maria Gawriłowna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jestem żonaty — powtórzył Burmin, — jestem żonaty już od lat czterech... i sam nie wiem... kto jest moją żoną... gdzie ona przebywa i czy kiedy w życiu z nią się zobaczę...

— Co pan mówi? — wykrzyknęła Maria Gawriłowna. — O jakież to dziwne! Niechże pan dalej opowiada!... później i ja coś opowiem... ale niech teraz pan opowiada, zaklinam pana!

— Z początkiem roku 1812 — jął mówić Burmin — jechałem do Wilna, gdzie stał nasz pułk, przyjechawszy raz późno na stację pocztową, rozkazałem co żywo zaprzęgać konie, gdy naraz zerwała się okropna śnieżyca, tak iż nadzorca i woźnice radzili mi, bym się zatrzymał. Posłuchałem ich, ale wkrótce opanował mnie jakiś niepojęty niepokój: zdawało mi się, jak gdyby mnie ktoś wprost wypychał z izby na dwór. Zamieć się nie zmniejszała, ja jednakże nie mogłem usiedzieć spokojnie. Kazałem znów zaprzęgać i pojechałem w największą zawieruchę. Woźnica ubrdał sobie, by jechać po zamarzniętej rzece, co jakoby miało nam skrócić drogę o trzy wiorsty. Brzegi były zasypane i zatarte; woźnica ominął to miejsce, gdzie powinniśmy byli wjechać na gościniec, to też znaleźliśmy się w stronie zupełnie nieznanej. Zadymka nie cichła. Światła nie było widać przed nami. Spostrzegłszy w dali światło, kazałem jechać ku niemu. Wjechaliśmy do jakiejś wioski — światło świeciło się w drewnianej cerkwi. Cerkiew była otwarta; za płotem stało kilkoro sań, a po majdanie chodzili ludzie. — „Tutaj, tutaj!" krzyknęło kilka głosów. Kazałem woźnicy podjechać bliżej. — „Powiedz-no, gdzieżeś ty tak marudził?" odezwał się ktoś do mnie; „czekamy i czekamy! panna młoda już zemdlała, pop nie wie, co począć! Jużeśmy mieli ochotę wracać do domu! Wyłaź czym prędzej!" — Nic nie mówiąc, wyskoczyłem z sań i wszedłem do cerkwi, słabo oświeconej trzema świecami. W ciemnym kącie na ławce siedziała jakaś panienka; stojąca obok niej dziewczyna nacierała jej skronie. „Dzięki Bogu", odezwała się ta druga, przecież pan nareszcie przyjechał! Nie wiele brakowało, a nasza jaśnie panienka przypłaciłaby to życiem". Stary pop podszedł do mnie z zapytaniem: „Czy można zacząć?" „Zaczynajcie, zaczynajcie, ojcze duchowny!" odrzekłem w roztargnieniu. Podniesiono zesłabłą panienkę: wydała mi się niebrzydka... Ot, i jakieś dziwne, nie wytłumaczone, nie dające się wybaczyć trzpiotostwo... stanąłem z nią przed analojem cerkiewnym. Pop spieszył się z ceremonią ślubną, a trzej mężczyźni wraz z pokojówką podtrzymywali pannę młodą i nią tylko byli zajęci. Obrzęd skończył się. „A teraz pocałujcie się!" odezwano się do nas. Moja żona zwróciła bladą twarz ku mnie. Ja naprawdę miałem chętkę ją pocałować... ale ona krzyknęła na cały głos: „To nie on! nie on!" — i upadła bez przytomności. Świadkowie wlepili we mnie przerażone oczy. Odwróciłem się, wyszedłem z cerkwi bez przeszkody, wskoczyłem do kibitki i wrzasnąłem „wio!".

— Mój Boże, mój Boże! — zawołała Maria Gawriłowna. — A czy pan nie wie, co się stało z nieszczęśliwą pańską żoną?

— Nie wiem — odrzekł smutno Burmin. — Nie wiem, jak się nazywa ta wioska, gdzie brałem ślub; nie pamiętam z jakiej stacji pocztowej wyjechałem. W owym czasie tak mało przywiązywałem wagi do swego nikczemnego figla, że odjechawszy od cerkwi zasnąłem i obudziłem się dopiero na drugi dzień rano, już na trzeciej stacji. Służący, który towarzyszył mi wówczas w podróży, zmarł na wojnie, więc nawet nie mam nadziei odnalezienia tej, z której zadrwiłem tak okrutnie i za którą tak ciężko muszę dziś pokutować.

— Mój Boże, mój Boże! — zawołała Maria Gawriłowna, chwytając go za rękę. — A więc to był pan?... I pan mnie nie poznaje?

Burmin pobladł — i rzucił się do jej stóp...

KUPON Nr 11/50

ważny do dnia 15 kwietnia 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Życie Francji — o ile sądzić z jej niezmiernie bujnego ruchu umysłowego, dyskusyj i polemik — znajduje się pod wrażeniem głębokich przemian społecznych, które gdzieindziej wprowadzane są raptownie i na rozkaz z góry, we Francji zaś dokonują się w walce opinij i nie bez wahań. O katolickich kołach można powiedzieć, że, jakkolwiek nie biorą udziału w tych przemianach, śledzą je bardzo pilnie i myślą o przyszłości... Szczególnie ciekawą rolę odgrywają tu dwa najważniejsze zakony: Jezuitów i Dominikanów.

JEZUICI I DOMINIKANIE.

Jezuici francuscy mają szereg pierwszorzędnych myślicieli i działaczy, a organem, przez który wywierają wpływ na społeczeństwo, jest doskonały miesięcznik „Etudes". Jezuici francuscy rozwijają jednak raczej praktyczną, niż teoretyczną, działalność. Prowadzą słynną „l'Action Populaire", są w organizacjach i instytucjach społecznych i nawet gospodarczych. W zakresie zaś teoretycznej działalności najwięcej (poza ścisłą teologią) uwagi poświęcają ekonomii i polityce społecznej. Stworzyli pewnego rodzaju szkołę, której mistrzami są: Debusquois, Du Passage, Guitton, Muller (Belgia) i in.

Dominikanie, którzy w Polsce dopiero w ostatnich czasach zaczynają się bardziej uaktywniać i wywierać wpływ na życie umysłowe narodu, rozwijają we Francji już od dawna bardzo żywą działalność. W pobliżu Paryża (Juvisy) stworzyli ruchliwy ośrodek wydawniczy i dali katolikom szereg wybornych, nie tuzinowych, periodyków, jak i interesujący zawsze i aktualny tygodnik „Sept", a zwłaszcza dwutygodnik p. t. „Vie Intellectuelle". Ostatni periodyk zajmuje szczególne miejsce w katolickiej prasie. Jest „aktualny", ale o podkładzie filozoficznym. Stałą jego — jeśli można użyć tego wyrażenia — troską jest sprawa tego „nowego ustroju", który nastąpi po okresie kapitalizmu i po kompromitacji komunizmu. Zwłaszcza chodzi dominikańskiemu pismu o określenie roli katolicyzmu i prasy nad przygotowywaniem tego nowego porządku.

AKTUALNE SPRAWY FRANCJI.

Życie praktyczne katolików francuskich ma jednak do czynienia nie z problemami teoretycznymi, ale z zadaniami praktycznymi. W tej chwili dość wiele się mówi i pisze we Francji np. o zabezpieczeniu katolickiego charakteru wystawie, która ma być w maju otwarta. Jest bowiem przewidziany i buduje się już osobny „papieski pawilon katolicki", ale nie brak znaków dowodzących, że poza tym wystawa będzie miała charakter wybitnie „laicki", jeśli nawet nie antykatolicki; a okazji do zamanifestowania „laicyzmu" wystawa taka, jaką otwiera Francja, nastręcza wiele.

Na 13. i 14. b. m. zapowiedziana jest coroczna pielgrzymka rolnicza z całej Francji do Paryża, do bazyliki Serca Jezusowego na Montmartre. Jest to jedno z tych licznych, które katolicyzm francuski robi, usiłowań, by spoganiałą wieś doprowadzić do Boga. W tym samym celu zmierza tworzenie osobnych oddziałów młodzieży rolniczej w ramach ogólnej organizacji młodzieży, A. C. J. F...

Już od kilku lat przeszła katolicka Francja do nowego typu organizacji młodzieży. Dotychczasowa struktura ogólna. A. C. J. F. stanowi niejako „dach" wspólny dla kilku specjalnych typów organizacji młodzieży: rolniczej (J. A. C.), robotniczej (J. O. C.), studenckiej (J. E. C.) i in. Istnieje więc właściwie kilka obok siebie działających organizacyj katolickiej młodzieży, tworzonych na podstawie zawodu, a związanych razem w jedną A. C. J. F. Ma to swoje dobre strony: organizacja taka daleko lepiej wiąże w poszczególnych jednostkach katolicyzm z życiem, bo wiadomo, jak ogromną rolę w życiu dzisiejszego człowieka odgrywa zawód! Warto by u nas w Polsce przeprowadzić studia nad tym typem organizacji katolickiej. I to nie tylko — organizacji młodzieży, ale i starszych, zwłaszcza w Katolickich Stowarzyszeniach Mężów.



SZKOŁA W ALZACJI.

Już wiadomo, że „szczęśliwy" obrót przybrała sprawa zakusów laicyzmu na szkołę wyznaniową w „prowincjach odzyskanych", Alzacji i Lotaryngii. Pod wpływem zdecydowanego wystąpienia katolików alzackich z biskupem strassburskim, Mgr. Ruch, na czele, pod wpływem delikatnej interwencji Nuncjusza, Mgr. Valeri, i protestu parlamentarzystów alzackich i katolickich, — p. Blum, który początkowo zajął bardzo „odważne" stanowisko, wycofał się z tej pozycji i — zresztą w formie nie wiążącej oficjalnie rządu — zapewnił posła Schumana, że — „wszystko zostanie po staremu". Wymiana wizyt między Nuncjuszem i premierem Blumem była dowodem, że na razie konflikt przestał istnieć. A zaś parlamentarzyści Alzacji i Lotaryngii w osobnym piśmie, ogłoszonym przez całą prasę nierządową, oświadczyli, że zobowiązanie premiera złożone p. Rob. Schumanowi przyjmują do wiadomości, proszą jednak p. premiera, by „w sposób urzędowy i publiczny" je potwierdził, i to w czasie możliwie bliskim.

OŻYWIENIE W MEKSYKU.

W Meksyku zaznacza się od pewnego czasu większa aktywność katolików. Zwraca się ona przeciw wychowaniu socjalistycznemu, które w Meksyku jest równoznaczne z ateistycznym, i przeciw ograniczeniu, wzgl. zamykaniu kościołów używanych do kultu religijnego. Prasa angielska, francuska i włoska pełna jest opisów manifestacyj, demonstracyj i nawet walk ulicznych na tym tle. Rząd sobie radzi, jak umie. Przestrzeżony parokrotnie, że Stany Zjednoczone, których obywatele mieszkają na terytorium Meksyku, cierpią z powodu niegodnych nowoczesnego państwa praw meksykańskich, i że Waszyngton nie rezygnuje z bezpośredniej interwencji, rząd Meksyku nie śmie wymuszać gwałtem posłuchu katolików, ale za to podniecа „Konfederację Robotników" do kontrdemonstracyj przeciw katolikom. Uzyskuje w ten sposób „argument", że tylko część ludności niezadowolona jest z nowych praw.

W Orizaba przed tygodniem doszło do znamiennej manifestacji w mieście. Ulicami przeciągała młodzież w pochodzie niosąc transparenty i wznosząc okrzyki na rzecz otwierania zamkniętych kościołów i dopuszczenia większej liczby księży do pracy duszpasterskiej. W Vera Cruz i Orizaba związek rodzicielski zbojkotował szkoły państwowe i przy budynkach szkolnych postawił straż, by nie dopuścić do podjęcia „wychowania socjalistycznego"... Podobnie i w innych miastach.

Pejot.

Wychowanie nowego człowieka

Katolicyzm a nowe prądy pedagogiczne

„Musi powstać konkretny, realny zespół światowy wszystkich ludzi mądrych a dobrych, podzielających ideał nowej cywilizacji". Tak pisał niedawno prof. F. Znaniecki w swej pracy, która ukazała się również i w języku angielskim p. t. „Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości".

Człowiek przyszłości — według prof. Znanieckiego — będzie kształtował swą osobowość jednostkową w idealnej harmonii ze światem wszechkultury. W związku z tym powstaje konieczność stworzenia nowego uniwersalnego systemu wychowania, stwarzającego taki typ człowieka przyszłości.

Wśród nowych prądów wychowawczych wysunęły się na pierwszy plan w ostatnich czasach: skrajna indywidualna pedagogika (uczniowie Ellen Key), pedagogika socjalna a wreszcie t. zw. personalizm pedagogiczny. O tych nowych prądach napisał ostatnio profesor uniwersytetu J. P. Bohdan Nawroczyński obszerną rozprawę p. t. „Współczesne prądy pedagogiczne". Sprzeczne ze sobą prądy wychowawcze próbuje prof. Nawroczyński pogodzić w t. zw. „pedagogice kultury". Dla pedagogów kultury — pisze on — celem wychowania jest właśnie kultura... Wychowanie nie jest niczym jak kulturą jednostki". Na czym jednak ta kultura pod względem zwłaszcza duchowym ma polegać, tego prof. Nawroczyński nie mówi.

Na pytanie to odpowiada nowa teza wychowawcza ujęta w zgodzie ze światopoglądem katolickim, t. zw. personalizm. „Osservatore Romano" w art. „Difesa della persona" (Obrona osobowości) wykazuje, że pedagogika chrześcijańska ma wrogów w komunizmie, hitleryzmie, a poniekąd i w faszyzmie, głoszących nową etykę, nowe wychowanie, w mniejszym lub większym stopniu ubóstwiając wytwórczą (bolszewizm), czystą rasę (hitleryzm), państwo (faszyzm) ponieważ te światopoglądy ograniczają prawa jednostki, którą bierze w obronę etyka wychowawcza Kościoła.

O personaliźmie pisał u nas niedawno głównie Karol Górski (Wychowanie personalistyczne). Według Górskiego personalizm nie stawia humanitaryzmu ponad wszystkie dobra moralne, uważając, że na dnie współczesnego humanitaryzmu tkwi olbrzymia doza epikureizmu i materializmu. Personalizm nie uznaje kultu życia dla życia. „Z punktu widzenia rozwoju osobowości — pisze Karol Górski — „Każde zaparcie się siebie poniesione dla celów dobrych jest twórcze".

Pedagogika katolicka kładzie nacisk na rozwój pełni osobowości. „Nigdy nie powinno się tracić z oczu — pisze Pius XI w swej encyklice o wychowaniu, — że przedmiotem chrześcijańskiego wychowania jest **cały człowiek**, duch złączony z ciałem w jedności natury, ze wszystkimi swoimi władzami przyrodzonymi i nadprzyrodzonymi, jak go nam przedstawia zdrowy rozum i Objawienie... Stąd prawdziwy chrześcijanin, owoc chrześcijańskiego wychowania, jest człowiekiem nadprzyrodzonym, który myśli, sądzi i działa stale i konsekwentnie wedle **zdrowego rozumu oświetlonego nadprzyrodzonym światłem** przykładów i nauki Chrystusa, albo też, — żeby użyć przyjętego dziś sposobu mówienia — to **prawdziwy i pełny człowiek charakteru**".

To określenie katolickiej pedagogiki harmonizuje wszelkie sprzeczne prądy wychowawcze doby obecnej i podnosi je do wartości najwyższych wskazując istotny cel wychowania i szeregując hierarchię środków do tego celu prowadzących. Wartość praktyczną katolickiego ideału wychowawczego oceniają coraz silniej współcześni pedagogowie. Ukazała się świeżo praca Jana Ratyńskiego p. t. „O wychowanie nowego człowieka", w której czytamy:

„Psychologia uczy nas, że dusza dziecka jest jednolita i że skutkiem tego musi być jednolite wychowanie. Oznacza to: że musi ono mieć na względzie całego człowieka, a nie tylko jego rozum, wolę lub uczucia i że muszą być skoordynowane i jednolite wszelkie poczynania wychowawcze szkoły, czyli, że cała ma ona wychowywać religijnie, cała państwowo, cała fizycznie i t. p. W myśl tego sprawy religijne powinny być częstym tematem obrad całej rady pedagogicznej i otoczone troską nauczycieli... **Zasada jednolitości w wychowaniu domaga się więc szkoły wyznaniowej**". (Por. „O wychowaniu nowego człowieka", str. 75).

Z obcej niwy

Ku nowej cywilizacji chrześcijańskiej

W paryskiej, „Vie Intellectuelle" (25. II. 1937) pojawił się bardzo interesujący artykuł prof. Sorbony, E. Borne. Artykuł jest jednym z objawów szukania tego „ordre nouveau" (nowego ustroju), ku któremu zmierzać katolikom francuskim każe kard. Verdier. Autor bierze pod uwagę szczególnie francuskie stosunki (pogaństwo wsi i proletariatu fabrycznego), ale jego interesujące uwagi mogą mieć pewne znaczenie i dla Polski. Wszędzie laicyzm działa...

Prof. Borne żąda od katolików, by się zdobyli na dwie decyzje. Pierwsze, by wypracowali „ideał historyczny" nowego ustroju, by od ogólników przeszli do praktycznych wskazań. Słusznie zauważa, że sama ustawiczna krytyka i negacja rzeczywistości prowadzona przez katolików, ani na krok nie zbliża nas do nowego ustroju; trzeba mieć wizję pozytywną nowej cywilizacji.

Drugim warunkiem, który prof. Borne stawia katolikom, jest — wyzwolenie energii społecznej.

„Do walki — czytamy w jego artykule — potrzebny jest jeszcze drugi czynnik: energia społeczna. Wola pojedynczego człowieka, czy nawet kilku ludzi, o ile nie pobudza sił zbiorowych, nie może zaważyć na kształtowaniu się cywilizacji. Z drugiej zaś strony staje się coraz więcej widocznym, że lud, a przede wszystkim masy robotnicze zbudzone i wykształcone raczej przez doświadczenia syndykalizmu, jak przez akcję polityczną, stanowią siłę historyczną o wzrastającej potędze. Masy te domagają się dzisiaj prawa (zapewne zbyt wielkiego, nie mniej jednak jest to oparte na poczuciu własnej wartości i stanowi objaw bardzo dodatni), do tworzenia cywilizacji jutrzejszej i to tworzenia jej zupełnie samodzielnie. Niestety jednak masy te nie są już chrześcijańskimi; a chrześcijaństwo uważają za zaporę wznoszącą się na drodze do wolności. Tak pod koniec starożytnego świata, barbarzyńcy wnieśli do historii młodą i świeżą krew i nowe energie w sobie samych mieli. Ażeby stworzyć średniowiecze, trzeba było barbarzyńców odrzucić.

Nowa cywilizacja będzie zarazem cywilizacją chrześcijańską i ludową. Warunkiem więc odrodzenia społeczności chrześcijańskiej jest pozyskanie mas sposobem pokojowości; bez silnych ośrodków życia chrześcijańskiego zarówno na wsi, jak na nowoczesnych przedmieściach nadzieje na cywilizację chrześcijańską są z góry przesądzone. Trzeba nas jednak dobrze zrozumieć, uchrześcijanienie wsi i przedmieść, to coś więcej, aniżeli mnożenie wszystkich, jakich by nie było, dzieł i organizacyj, które kontakt z życiem rzeczywistym nawiązują zaledwie raz w tygodniu, w niedzielę. Myślę natomiast o wynalezieniu nowych rodzajów życia. choćby były tak niepokojącymi otoczenie, jak np. klasztory benedyktyńskie na wsi starożytnej. Można by tu zaryzykować pewną myśl: rozrodczymi komórkami przyszłej organizacji społeczeństwa mogłyby się stać ugrupowania rodziny, dające publiczny przykład współpracy i cnót chrześcijańskich, żyjące we wspólnotach żywych i braterskich, zrywając z formami życia burżuazyjnego, a zastępując życie kompromisów przykładem ewangelicznej przyjaźni.

Ich promieniowanie będzie nieustanną ewangelizacją, bardziej owocną od wielu patronaży i przedstawień kinowych, a to naprzód na wsi, z czasem także staną się komórkami żywymi nowego organizmu także w mieście.

Tragedia tych biednych wiejskich proboszczów, którzy nie mogąc swoich parafii traktować ani jako terenów misyjnych, ani jako chrześcijańskich środowisk, a którzy zdzierają się w tej nie do zniesienia sytuacji, mogąc ofiarować Bogu jedynie swoje osamotnienie i niedostatek, przestałaby istnieć, gdyby mogli sprawować swoje duszpasterstwo wśród rodzin pozbawionych egoizmu i niewpatrzonych jedynie w swój mały krąg zainteresowań osobistych, — wśród rodzin, których życie byłoby jedną liturgią. Poczuliby się twórcami nowej cywilizacji.